

O tym, że taśma filmowa i piłeczka pingpongowa były kiedyś wytwarzane z tego samego materiału, dowiedziałam się stosunkowo niedawno. Od tego czasu żartuję, że miłość do celuloidu wyssałam z mlekiem matki. Tyle, że zamiast zostać sportsmenką jak ona, stałam się kinomanką.

Pierwsze seanse filmowe pamiętam jak przez mgłę: miałam 7 lat i chodziłam na nie z koleżanką. To wtedy widziałyśmy „Labirynt” (1986), z którego do dziś przetrwało jedynie wspomnienie piętrzących się w różnych kierunkach, trochę na wzór figur niemożliwych, charakterystycznych schodów. Kilka lat później, w ramach prezentu urodzinowego, mama zabrała mnie na „Park Jurajski” Spielberga. No i się zaczęło, złapałam przysłowiowego bakcyła. Swoją nową pasję dzieliłam wówczas między dwa rybnickie kina: Premierowe i Apollo. Oglądałam niemal wszystko, co było w repertuarze, mając nadzieję, że nikt podczas zakupu biletu nie zapyta mnie o wiek, choć gołym okiem widać było, że nie mam wymaganych 15 lat. Tym sposobem trafiłam m.in. na „Siedem” Davida Finchera i „Przed egzekucją” Tima Robbinsa.

Wkrótce ilość oglądanych filmów zastąpiona została jakością, głównie za sprawą DKF Ekran. Dzięki klubowym seansom mogłam zobaczyć tytuły, których na próżno było szukać w regularnym repertuarze: nagradzane na europejskich festiwalach, zaliczane do klasyki kina, czy nowatorskie jak „Instytut Benjamenta” braci Quay i niemal 4-godzinna „Eureka” Aoyamy. W międzyczasie rozpoczęłam studia i na mapie ulubionych miejsc pojawiło się katowickie kino Światowid. Obok arthousowego programu organizowali mnóstwo fantastycznych wydarzeń, przeglądów i pokazów festiwalowych. Czasem, aby zdążyć na poranny seans, już po szóstej siedziałam w pociągu. Do maleńkiego holu, gdzie znajdowała się kasa biletowa, wpadałam z kupioną w drodze z dworca kawą i suchą bułką, które szybko konsumowałam jeszcze przed pokazem. Mam taki obraz w pamięci, jak stoję z tą kajzerką i (o ironio!) rozmawiam z ówczesnym kierownikiem o tym, że to jedzenie w kinie to już jakaś plaga. Na szczęście Światowid nigdy nie był skażony multipleksowymi zwyczajami.

Zaraz po studiach przeprowadziłam się do Słupska i wtedy zaczęła się przygoda z kinem od kuchni. Zamawianie filmów, wysyłanie raportów, sprzedaż biletów, pilnowanie obiegu kopii - to było fascynujące uczucie znaleźć się nagle niejako po drugiej stronie. O żadnej z tych rzeczy nie miałam pojęcia, wszystkiego uczyłam się od podstaw.

Jednym z pierwszych wspomnień, jakie mam z Rejsu, są pokazy krótkich metraży z krakowskiego festiwalu Etiuda&Anima, do których czytałyśmy listy dialogowe na żywo, siedząc na końcu sali przy małym stoliku z lampką. Eli trafił się filmik o krabach, niezwykle wymagający ze względu na zagęszczenie tekstu. Ledwo można było nadążyć z czytaniem. Nie wie, ile razy musiała to przećwiczyć, ale do dziś pamiętamy brzmienie pierwszych słów: „W mętnych wodach zatoki Gironde...”, które teraz wywołują już wyłącznie uśmiech.

Tego samego roku, we wrześniu, w emceku odbywał się art festival JAPONIA. Jego ważną częścią były pokazy filmowe, a jednym z nich „Naga wyspa”(1960) z muzyką wykonywaną w trakcie seansu przez Marcina Dymitera. W Słupsku mieszkałam od niedawna, prawie nikogo nie znałam, ale z entuzjazmem informowałam wszystkich o tym wydarzeniu. Pamiętam, że weszłam do klubu pARTer (sala pod emcekowskim tarasem), gdzie na zielonych fotelach

siedziała spora grupa młodych ludzi. Zachęcam więc żarliwie, żeby koniecznie przyszli, że to fajna sprawa taki koncert i seans filmowy w jednym. Nawet się zainteresowali, więc pytają i drążą, a ja tłumaczę dalej, że Dymiter to ten z zespołu Ewa Braun, że płyta „Sea Sea”... Musieli nieźle się bawić słuchając tego wszystkiego, zwłaszcza że Marcin (o czym chwilę później mi powiedzieli) siedział wśród nich. Tak wyglądało nasze pierwsze spotkanie, a potem były kolejne, także filmowe. Marcin wielokrotnie gościł u nas zarówno w charakterze tapera (genialny występ z Pawłem Nowickim do „Światła wielkiego miasta” Chaplina), kompozytora (wspólnie z reżyserem Marcinem Borchardtem po seansie „Beksińscy. Dziennik wideofoniczny”), jak i prowadzącego warsztaty. Jednym z cudownych wspomnień są zajęcia, podczas których grupa gimnazjalistów pod jego opieką tworzyła ścieżkę dźwiękową do 6-minutowej animacji „Basen” Alexandry Hetmerovej. Zazwyczaj w trakcie takich projektów wpadałam tylko na chwilę z aparatem, żeby zrobić kilka zdjęć do dokumentacji i wracałam z powrotem do swojej pracy, ale od tego co tam się działo, nie sposób było się oderwać. Przyglądanie się całemu procesowi, temu jak wspólnie analizują film rozbierając go na części, badają nastrój, dobierają dźwięki, dzielą się zadaniami, by ostatecznie wypełnić obraz nowym brzmieniem, było jednym z najbardziej niesamowitych przeżyć.

Takich momentów uniesień i ważnych spotkań było wiele. Niektóre pełne śmiechu i poczucia natychmiastowej więzi, jak to z Gabrielą Muskałą, kiedy w oczekiwaniu na koniec seansu aktorka dzieliła się z nami zabawnymi zawodowymi anegdotami, czy to z Dawidem Ogrodnikiem, z którym błyskawicznie łąpało się kontakt, jakbyśmy wszyscy świetnie się znali od lat. Niektóre z dreszczem emocji czy się uda, jak wtedy gdy prosto z festiwalu IDFA w Amsterdamie zmierzała do nas Hanna Polak na spotkanie po filmie „Nadejdą lepsze czasy”, albo jak przez awarię samochodu Wojciech Staroń dojechał na dziesięć minut przed końcem pokazu „Braci”. Były również chwile nieskrępowanej, autentycznej radości za każdym razem, gdy pojawiała się u nas Monika Kuczyniecka.

Nie sposób wymienić tu wszystkich, dość powiedzieć, że mieliśmy szczęście w kwestii doboru gości. Ktoś kiedyś nam wyjaśnił, że to przez położenie Słupska. Odległość od centrum skutecznie ich weryfikowała. Nie ulega też wątpliwości, że to zawsze było święto: filmu i twórców z nim związanych. Jednak to co dla mnie zawsze będzie stanowić istotę naszej pracy, to przede wszystkim spotkania z widzami. Mniej spektakularne, a przez to zupełnie niemedialne. W sprawozdaniach zawarte w postaci suchych liczb, które w żadnym stopniu nie oddają znaczenia tych relacji. Trudno słowami wyrazić wdzięczność tym, którzy latami lub choćby przez moment, wspierali nas swoją obecnością. To właśnie oni byli przy nas w radosnych i smutnych chwilach, to oni sprawiali, że nam się chciało, wreszcie to z nimi mogliśmy dzielić na co dzień wspólną pasję, jaką jest (nie)zwykła miłość do kina.

Joanna Gajdo